

Aleksandr Kuprin



WIERA

Aleksandr Kuprin

Wersja Demonstracyjna

Wiera



**Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2019**

[Kup książkę](#)

Aleksandr Kuprin

„Wiera”

Copyright © by **Aleksandr Kuprin**, 1929

Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.** 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

**ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.**

Skład: **Paweł Michalski**

Projekt okładki: **Adam Brychcy**

Wydawca: **Biblioteka Powieści i Romansów**

Druk: „**Oświata**”

Miejsce wyd.: **Warszawa**

Tłumacz: **anonimowy**

ISBN: 978-83-8119-590-4

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

I.

W połowie sierpnia nastął wraz z pełnią księżyca jeden z tych strasznych okresów burz, jakie zwykły nawiedzać tylko północne wybrzeża Morza Czarnego. Gęsta mgła zasnuła ziemię i morze, a wielka syrena morskiej latarni ryczała bez ustanku jak bawół. Dniami całymi mżył drobny deszcz, który pokrył gościńce i drogi tak głębokiem błotem, że samochody i wozy utykały w niem zupełnie; ze stepów dał dziki wichur północny pod którym gięły się i znów prostowały czuby drzew, jak orkanem smagane fale. Dachy will kryte blachą, całą noc trzeszczały; okiennice dygotały, w kominach przeraźliwie wyło. Kilka łodzi rybackich wypchnął wichur na otwarte morze; dwie z nich nigdy nie wróciły. Dwa tygodnie później znaleziono zwłoki rybaków rozrzucone po wybrzeżu.

Kuracjusze, przeważnie Grecy i Żydzi, uciekali do poblizkiego miasta. Wzdłuż rozmiękłego gościńca widać było ciągnące sznurem wozy, przeładowane najrozmaitszym sprzętem domowym jak: materace, kanapy, kufry, stołki, umywalki, samowary i inne. Poprzez woal deszczu, pokrywający krajobraz cienkim muślinem, wydawało się to wszystko brudne, zużyte i nędzne. Na wilgotnych płachtach siedziały skulone kucharki i służące, trzymając kurczowo żelazka, blaszanki i koszyki. Pomęczone, spocone zwierzęta stawały co chwila; kolana drżały, a boki parowały, wznosząc się i opadając w ciężkim oddechu. Woźnice, otuleni w płachty, klęli ochryłym głosem. Wygląd całej karawany był smutny i opłakany. Lecz jeszcze smutniej przedstawiały się opuszczone wille: szyby były wybite, po stratowanych klombach wałęsały się bezpańskie psy, a wszędzie było widać nawiane kupy śmieci.

Z początkiem września jednak pogoda odmieniła się nagle. Następowały po sobie dni jasne i spokojne, jeszcze jaśniejsze,

słoneczniejsze i cieplejsze, niż poprzednio w lipcu. Na pustych rżyskach snuło się błyszczące babie lato. Drzewa stały spokojnie i roniły zwolna swe pożółkłe liście.

Księżna Wiera Mikołajewna Cheine, żona marszałka gubernji nie mogła opuścić wybrzeża, zajęta doglądaniem prac adaptacyjnych w swej willi. A teraz rozkoszowała się w całej pełni pogodą tych jesiennych dni, spokojem, samotnością, przeźroczystem powietrzem i słonym, pieszczotliwym zefirkiem od morza.

II.

Prócz tego był to dzień jej imienin — siedemnasty września. Przemiłe wspomnienia z lat młodości czyniły jej zawsze ten dzień drogim, a każdego roku spodziewała się właśnie w tym dniu jakiegoś cudownego szczęścia. Jej mąż, zanim nad ranem wyjechał do miasta, dokąd pilne sprawy go wzywały, zostawił na jej nocnym stoliku maleńkie puzderko z parą wspaniałych kolczyków, o perłach w kształcie gruszki. Ten podarek spotęgował jeszcze jej dobre usposobienie.

Była sama w domu. Brat jej Mikołaj, który zazwyczaj mieszkał u nich, również musiał wyjechać do miasta, gdzie objął posadę zastępcy prokuratora. Mąż obiecał jej przyprowadzić paru najbliższych przyjaciół. Na szczęście wypadły imieniny na czas jej pobytu na wsi. W mieście musieliby urządzić wystawne przyjęcie, może nawet wydać bal — podczas gdy na wsi wydatki dały się łatwo ograniczyć. Z powodu swego przodującego stanowiska, mógł książę tylko z trudem koniec z końcem związać. Skutkiem marnotrawnego życia przodków wielkie rodowe dziedzictwo znacznie się skurczyło, niemniej jednak musiał książę żyć ponad stan: przyjęcia, dobroczynność, toalety, wierzchowce i wszystko inne pochłaniało moc pieniędzy. Żona, której początkowa

namiętność przemieniła się z czasem w szczerą i wierną przyjaźń, pomagała mu w miarę możliwości uniknąć ruiny; nie dając mu tego poznać, odmawiała sobie wiele i ograniczała wydatki jaknajbardziej.

Chodziła właśnie po ogrodzie i ścinała kwiaty do przyozdobienia stołu. Na zaniedbanych grzędach znajdowały się jeszcze gdzieś tam duże barwne goździki, kilka lewkonij nosiło na swych cienkich łodygach po parę kwiatów, a na krzewach różanych po raz trzeci w tym roku otwierały się małe, karłowate i zdegenerowane pączki. Astry i begonje rozstaczały swój chłodny przepych przesycając powietrze jesienno-melancholijnym zapachem. Inne kwiaty zwiędłe po szlachetnej miłości i szczęśliwym macierzyństwie, pokryły ziemię niezliczonymi nasionami nowego życia.

Nagle od gościńca odezwał się znany głos trąbki samochodowej, zwiastującej przybycie Anny Nikołajewnej Friese, siostry księżnej Wiery. Jeszcze rano przyrzekła telefonicznie pomoc przy przygotowaniach do przyjęcia.

Wiera wyszła na spotkanie siostry; czuły słuch nie omylił jej. Po chwili zatrzymał się przed wejściem elegancki samochód; szofer zgrabnie zeskoczył i otworzył drzwiczki. Siostry uściśniły się serdecznie. Od dzieciństwa łączyła je gorąca przyjaźń. Starsza Wiera odziedziczyła po matce dumnej Angielce wysmukłą postać, regularne, lecz chłodne rysy, piękne, choć nieco za duże ręce i wspaniałe tors, jaki się na starych minjaturach widuje. Młodsza odziedziczyła raczej mongolską krew ojca, tatarskiego księcia, którego przodek dał się ochrzcić dopiero z początkiem dziewiętnastego stulecia i który wywodził się w prostej linii od Tamerlana, a raczej Lang Temira, co po mongolsku oznacza „krew pijący”. Anna, szersza w barkach i o głowę od siostry niższa była ogromnie żywa, lekkomyślna i szydercza. Jej odstające kości policzkowe, przymrużone krótkowzroczne oczy, wyraz pychy zacząjony w drobnych zmysłowych ustach, a szczególnie wystająca nieco szczęka dolna, słowem cała jej twarz wskazywała

na mongolski typ. Roztaczała jednak dziwny i nieprzemierzony urok, pochodzący może z jej uśmiechu, bardzo kobiecych rysów, lub też kokieteryjnej mimiki. Jej urocza brzydota zwracała częściej i silniej uwagę mężczyzn, niż arystokratyczna piękność siostry.

Jej mąż był bardzo bogaty, lecz prostoduszny; niczem się nie zajmował, pozostawał tylko w stosunkach do jakiejś dobroczynnej instytucji i miał tytuł radcy kameralnego. Pomimo, że nim gardziła, urodziła mu syna i córkę; potem jednak postanowiła, że nie będzie więcej matką i słowa dotrzymała. Jej siostra Wiera pragnęła dzieci, ponieważ jednak oczekiwania nie ziściły się, darzyła namiętną, wprost chorobliwą miłością dzieci Anny. Było to dwoje miłych, zawsze poprawnych i posłusznych stworzeń o anemicznych twarzach i lnianych, jak peruki, lokach.

Charakter Anny był zmienny i pełen uroczych, nieraz dziwnych sprzeczności. Nie stroniła od flirtu, choćby najryzykowniejszego i uprawiała go we wszystkich stolicach i kąpieliskach Europy, nigdy jednakże nie zdradziła swego męża, choć drwiła z niego przy każdej sposobności. Była ogromnie rozrzutna, lubiała hazard, taniec i dwuznaczne sztuki teatralne, zwiedzała zagranicą podejrzaną kawiarnie, była jednak równocześnie dobrotliwa a tak szczerze i głęboko pobożna, że w tajemnicy nawróciła się do katolicyzmu.

Posiadała niebywale piękne ciało; na bale dekoltowała się głębiej, niż pozwalała nato moda i obyczaj; utrzymywano jednak, że pod głęboko wyciętą suknią nosiła cienki jedwabny trykot.

Wierę natomiast, cechowała surowa prostota, tudzież chłodna i nieco wyniosła grzeczność wobec wszystkich. Ponieważ była niezależną, nie wypadała nigdy z tego prawdziwie królewskiego spokoju.

III.

— Ach, jak chętnie tu przebywam, jak pięknie tu jest, powtarzała Anna, drepcąc obok siostry. Jeśli chcesz, to pójdźmy do tej ławki na szczycie skały. Jak dawno nie widziałam morza. Jakież rozkoszne jest to powietrze, serce wprost skacze przy oddychaniu! W zeszłym roku zrobiłam odkrycie w Miskhor. Czy wiesz, czym pachnie morze podczas przyływu. Rezedą, moja kochana.

Na ustach Wiery zaigrał pochlebny uśmiech.

— Jaką bogatą fantazję ty posiadasz!

— Nie, nie, to nie tylko fantazja. Pamiętam, żeście mnie raz wyśmiali, gdy oświadczyłam, że światło księżyca ma różowy odcień. Otóż posłuchaj: w tych dniach powiedział mi malarz Boryckij, ten, który mnie portretuje — że mam rację, a wszyscy artyści oddawna to już wiedzą.

— Czy ten malarz, to twój najnowszy flirt?

— Co ty też wynajdujesz, odpowiedziała Anna, śmiejąc się. Szybko podeszła nad brzeg stromo opadającej skały, spojrzała w otchłań i krzyknęła nagle rzucając się wstecz, blada.

— Jakie to wysokie, mamrotała słabym, drżącym głosem. Gdy z takiej wysokości spojrzę w dół, odczuwam zawsze w piersi emocję bolesną i przyjemną zarazem i takie mrówki w stopach... A jednak pociąga mnie to, tak pociąga...

Chciała jeszcze raz tam podejść, ale siostra ją powstrzymała.

— Moja Anno, na miły Bóg! słabo mi się robi, gdy cię widzę tak blisko przepaści. Proszę cię, usiądź.

— Uspokój się, już siadam. Spójrz, jak tu pięknie. Oczy nie mogą się nasycić tem widowiskiem! Gdybyś wiedziała jak wdzięczną jestem Bogu za to całe piękno, które dla nas stworzył!

Obie milczały przez chwilę. Głęboko pod ich stopami roztaczało się morze. Z ławki, na której siedziały, brzeg morza nie był widoczny, co jeszcze potęgowało wrażenie majestatu i nieskończoności. Leniwie i pieszczotliwie toczyły się błękitne fale

morza. Błyszczące smugi znaczyły prąd, a wokół horyzontu ciągnęła się lazurowa wstęga. Niedaleko od brzegu kołysały się na falach barki rybaków, które gołem okiem ledwo można było odróżnić, tak małe się wydawały — jeszcze dalej zaś stał trójmasztowiec, którego białe żagle wydymały się pod wiatrem; zdawało się, iż fruwa w powietrzu.

— Rozumiem cię, — powiedziała zamyślona, starsza siostra — lecz na mnie działa morze inaczej. Gdy widzę je znowu po długim czasie, jestem wzruszona, uradowana i zachwycona. Wydaje mi się zawsze, jakbym po raz pierwszy stanęła wobec tego wzniosłego dziwu. Potem jednak, gdy przywyknę, uciska mnie ta pustka i monotonna dal. Słowem, nuży mnie i staram się widywać je jak najmniej.

Anna uśmiechała się,

— W zeszłym roku — zaczęła nieco złośliwie — wybraliśmy się konno wielką kawalkadą z Jałty do Uczkosz, wiesz, tam ponad wodospadem. W górze weszliśmy we mgłę; było wilgotno i ciemno, a my jechaliśmy stromą ścieżką wśród sosen. Nagle, gdy wyjechaliśmy z lasu, mgła rozviała się. Znajdowaliśmy się na wąskim cyplu skalnym, przepaść była pod nami. Wioski w dolinie wyglądały, jak pudełka od zapalek, lasy i sady, jak kępy traw. Cała okolica leżała przed nami jak mapa, hen, aż ku morzu. Do brzegu było jakie pięćdziesiąt wiorst. Zdawało mi się, że mogłabym tam pofrunąć! Jak pięknie, jak lekko! Zachwycona zwróciłam się do przewodnika: „Piękny widok, nieprawdaż Zajd-Ogły? On zaś, mlaszcząc językiem, odpowiedział mi: „Ach pani, ja widzę to przecież codziennie, gdyby pani wiedziała, jak mnie to już znudziło!”

— Dzięki za porównanie — zaśmiała się Wiera. Widzisz, my ludzie północy nie zrozumiemy nigdy dziwu morza. Ja kocham las. Przypominasz sobie nasz las w Jegorowskoje? Czy mogą się lasy przykrzyć?

— Ach wiesz: ja kocham wszystko — odpowiedziała tamta —

a przede wszystkim moją maleńką siostrzyczkę, rozumną Wieroczkę. Czy nie jesteśmy same jedne na świecie?

Rzuciła się siostrze na szyję i tak trwały długo, przytulone do siebie.

Nagle wyrwała się Anna z objęć.

— Jakaż ja głupia! My tu rozczulamy się nad przyrodą, prawie jak w jakiej powieści, a ja tymczasem zapominam o moim podarku dla ciebie. Spójrz, obawiam się, że nie będzie ci się podobał.

Wyjęła z torebki maleńki, dziwnie oprawny notesik; na niebieskim od starości wypłowiałym aksamicie wił się w złocie wykonany, skomplikowany deseń o zadziwiającej precyzji — dzieło cierpliwego, doskonałego artysty. Książeczka zwisała na złotym, jak nitka cieniutkim łańcuszku, a kartki miała z płytek kości słoniowej.

— Co za cudowne, zachwycające świecidełko! — wołała Wiera, obejmując siostrę. Serdeczne dzięki, moja droga! Gdzie znalazłaś ten skarb?

— U antykwarjusza. Znasz przecie moją pasję do starych rzeczy. Widzisz, ten ornament tutaj, ma kształt krzyża. Prawdę powiedziawszy, znalazłam tylko oprawę; wszystko inne musiałam sama wymyślić: tabliczki, zamek i ołóweczek. Ale Molline przecież mnie nie zrozumiał, bo pomimo moich dokładnych wyjaśnień nie zrobił tego, jak chciałam. Kazałam zrobić zamek w tym samym stylu, co ornamenty, z matowego, cyzelowanego, starego złota, a on zrobił coś tak okropnego. Ale łańcuszek jest stary, prawdziwy wenecki.

Wiera zachwycona przypatrywała się pięknej oprawie.

— Jak starą być może ta książeczka?, spytała.

— Nie odważę się podać dokładną datę. Prawdopodobnie pochodzi z końca XVII, albo połowy XVIII wieku.

— Jakie to dziwne! — rzekła Wiera pogodnie zamyślona. — Trzymam w ręku przedmiot, którym bawiła się może Pompadour,

albo królowa Luiza... Coś takiego ty tylko mogłaś wymyśleć, zamienić kalendarz w notesik. Ale chodźmy, już czas zająć się domowymi sprawami.

Szły do domu murowaną terasą, ze wszystkich stron porosłą winogradem. Duże, czarne grona, rozsiewając wokół swą woń, zwisały ciężko wśród ciemnego listowia, które słońce przetykało złotymi refleksami. Światło przenikało zabarwione zielono, tak, że twarze obu kobiet były całkiem blade.

— Czy każesz tutaj podać? — zapytała Anna.

— Chciałam tak zrobić; ale wieczory są już chłodne. W jadalni będzie przyjemniej. Panowie będą tu potem mogli wyjść na papierosy.

— Czy oczekujesz kogoś interesującego?.

— Nie wiem jeszcze doprawdy, kto właściwie przyjdzie. Wiem tylko z pewnością, że dziadek przyjedzie.

— O, jak to dobrze! Kochany dziadunio! — zawołała Anna, klaszcząc w ręce. — Mam wrażenie, że go sto lat nie widziałam.

— Prawdopodobnie przyjdzie też moja szwagierka, a może i profesor Spichnikow. Byłam też dlatego wczoraj w rozpacz. Wiesz przecie, ci dwaj — dziadunio i profesor — to wielcy smakosze. A tu jak na złość, ani w mieście, ani tutaj nie można za żadną cenę dostać czegokolwiek. Łukaszowi udało się wydostać od przyjaciela, myśliwego, parę przepiórek, które właśnie przyrządza. Pozatem wyciągnął gdzieś wcale dobry rostbeaf — ten nieodzowny rostbeaf — i bardzo ładne raki.

— Czegoż ty więcej chcesz? To przecież znakomity dobór! Poco się jeszcze troszczysz? Ale, między nami mówiąc, zdaje mi się, że dobre jedzenie to też twoja słaba strona.

— Będzie też oprócz tego rarytas: dzisiaj rano przyniósł nam pewien rybak „kowala”. Istny potwór, powiadam ci, można się go przestraszyć.

Anna, ciekawa wszystkiego bez względu na to, czy ją dotyczyło, chciała zaraz zobaczyć to szczególne zwierzę.

Kucharz Łukasz, ogromny, chudy drab o gładko ogolonej, żółtawej twarzy, przyniósł rybę w naczyniu, ostrożnie je trzymając, by wody na posadzkę nie wylać.

— Dwanaście i pół funta, ekscelencjo! — powiedział z prawdziwie kucharską pewnością siebie. — Dopiero była na wadze.

Ryba, nie mogąc zmieścić się wygodnie w naczyniu, leżała ze zgiętym ogonem. Łuski lśniły złotawym odcieniem, płetwy płonęły żywą czerwienią, a po obu stronach jej drapieżnego pyska znajdowały się dwa długie, wachlarzowate skrzydła, matowo niebieskie. Dychawki drgały, zdradzając czające się życie.

Anna dotknęła głowy małym palcem; cofnęła go jednak i krzyknęła, skoro ryba uderzyła ogonem.

— Ekscelencjo, proszę być spokojną, wszystko jak najlepiej przyrzadzimy, — powiedział kucharz, zauważywszy widocznie niepokój Wiery. — Jeden Bułgar przyniósł nam właśnie wspaniały melon. Czy wolno mi jeszcze spytać, w jakim sosie mam podać rybę: tartare, polonaise, czy też menniere?

— Proszę robić, jak uważacie; a teraz zabierzcie tę rybę, Łukasz! — rozkazała księżna.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok



Spis treści

I.

II.

III.